

Wielka Upośledzona...

O którą tu chodzi? Bo przecież jest ich kilka w naszej literaturze współczesnej: i po- wieść kryminalna, i (fałszywie rozumiana w przeszłości) tema- tyka produkcyjna, i poezja młodych, i... Najniebezpiecz- szą, najbardziej upośledzoną przez współczesnych pisarzy polskich jest chyba jednak od- wieczna bohaterka literatury w każdej postaci i formie, od li- ryków do esejów krytycznych i pamiętników artystów: mi- łość!

Jest to zjawisko (mimo pozo- rów) mniej paradoksalne, a bar- dziej nienaturalne, że dyskusja o miłości, małżeństwie, rozwo- dach — tocząca się od kilku miesięcy na łamach periodyków kulturalnych — wygląda na kłótnię między publicystami, socjologami, prawnikami, mora- listami wreszcie — tylko nie pisarzami, najbardziej powoła- nymi przecież do zabierania gło- su w tej materii... Bo ci z lite- ratów, którzy poczuwają się do obowiązku wzięcia udziału w sporach nad bardzo istotną dla każdego współczesnego Polaka sprawą kultury miłosnej, czy- nią to nie jako poeci, prozaicy, dramatopisarze — ale właśnie jako publicyści, przekazujący swoje poglądy i refleksje w ar- tykułach — a nie w wierszach, powieściach, tragediach i kome- diach współczesnych. Jedną nie- naturalność została pomnożona przez drugą...

Sprawa zbyt małego, rzadkie- go, albo powiedzmy lepiej: nie- właściwego pojawiania się mi- łości w polskiej literaturze współ- czasnej — to problem, który najlepiej chyba zaświadczają ści- łość więzi między literaturą a życiem — który najplastycz- niej ukazuje olbrzymie straty, straty ludzkie wyniki z rozluźnienia tej wię- zi. Właśnie pisarze stają się niejedenkrotnie nauczycielami miłości, biorą odpowiedzialność za to, jakie formy przybiera uczucie mężczyzny do kobiety we współczesnej twórczości epo-

NAPISAŁ:
Zbigniew Pędziński

ce. Setki, tysiące, a nawet dzie- siątki i setki tysięcy ludzi prze- mawia do swoich ukochanych słowami Mickiewicza, Tebmaje- ra i Staffa, porównuje najdroż- sze osoby do Maryli i Bałki Wołodyjowskiej, do Kmicica, Wokulskiego, Rafała Olbrom- skiego... Tysiące cieszą się ze znalezienia „głowy najdroższej” radością pana Michała Wołody- jowskiego — i opłakują jej utratę słowami Gustawa, myśla- mi Wokulskiego. Popularne tan- ga i fokstrotty mają tytuł zwol- lenników ze względu na swą zgrabną, łatwą melodię — co z uwagi na słowa, plastycznie (to- nie, że sentymentalnie!) i żarli- wie oddające tęsknotę, smutek rozstania, radość znalezie- nia się, spotkania i powrotu. To właśnie jałmużna literatu- ry: wielkie, dramatyczne kon- flikty, zamienione na okliwe wspomnienia o błękitnych oczach, dziewczęcych rękach i siwych włosach, trafia do serc chuliganów, którzy — mimo swej cynicznie-ordynarnej po- zy — pragną czasem także uwie- rzyć w coś, co istnieje w mi- łości oprócz fizjologii...

Nieświadoma często wiara w pierwszorzędne miejsce miłości w hierarchii ludzkich uczuć jest jedną z przyczyn olbrzymie- go, niezauważanego dziś na ogół przez naszych twórców za- pominięcia, zapotrzebowania spo- łecznego na miłość w literatu- rze, teatrze i filmie. Jest to za- razem powód, dla którego obok Wallace'a i Marcezyńskiego krą- żą wśród ludzi czytane do szczy- tu twórcy Courts Mahlerow- ej, Mniszkówny i Zarzyckiej. Książka, której bohaterowie nie nie robią, tylko się kochają na kilkuset stronicach drobnego druku, śni się w jawnych ma- rzeniach czytelników i tajnych — literackich snobów... Jeśli książka posiada w tytule miłość (choćby pomieszana z ku- rzem) — może niechybnie li- czyć na zniknięcie z półek księ- garskich, na zaczytanie w księ- gozbiorach prywatnych i publi- cznych! Ale taka książka (nie najlepsza zresztą) pojawiła się dotąd tylko jedna...

Jeśli o miłości w naszej li- teraturze współczesnej możemy mówić głównie w kategoriach

zamówienia, głodu, niedosytu w najlepszym razie — to nie jest dobrze. Dużą odpowiedzialność za to ponosi niewątpliwie usu- wanie jeszcze do niedawna w na- czejch powieściach, drama- tach, a nawet lirykach — życia prywatnego bohaterów na dru- gi plan, wobec tematyki produk- cyjnej i gospodarczej. Skutki nie dały na siebie długo czekać: jeśli weźmiemy do ręki najpo- czytniejszą obecnie powieść pol- ską: „Złoty” Leopolda Tyrman- da — zobaczymy rażącą dys- proporcję w jakości scen mi- łości i chociażby obrazków z co- dziennego życia restauracji i barów warszawskich.

Pisarze nasi oduczyli się pisać o miłości, która nie jest ani taniutkim sentymenta- lizmem, ani brudną pornogra- fią (tego ostatniego niebezpie- czeństwa najmniej zresztą mo- żemy się, jak dotąd, obawiać!) ani też wykastrowanym nawet z myśli o ciebie związanym dwóch duchów astralnych — tylko nor- malnym, ludzkim i pięknym sto- sunkiem mężczyzny do kobiety i na odwrót. Pisarze nasi odu- czyli się również wiazania tego rodzaju miłości z codziennym, polskim życiem — słowem, nie potrafią oddać najpiękniejsze- mu z uczuć takiego miejsca w nie tylko literackim świecie, które ono naprawdę zajmuje. Pisarze nasi wreszcie ponoszą za te uchybienia zasłużoną ka- rę: kto wie, czy nie dlatego ich książki cieszą się najczęściej tak małą poczytnością, szcze- gólnie wśród młodzieży.

Wydaje mi się, że środki za- radcze na upośledzenie tematy- ki miłosnej w polskiej literatu- rze współczesnej nie są i nie mogą być lekarstwem, działa- jącym z piorunującą szybko- cią. Jeśli powieściopisarze, dra- maturdzy i liryzy zdecydują się na żmudne i cierpliwe obserwo- wanie, jak się ludzie dziś kocha- ją i... nienawidzą, jak się spo- tykają i... rozchodzą — jeśli zrozumieją, że uczucie pisane o ludzkiej miłości dziś jest wła- nie dowodem jak najgłębszego zaangażowania się, a nie odo- rwanie od życia — jeśli wresz- cie potrafią znaleźć takie środ- ki artystycznego wyrazu, ażeby nimi trafić do serca każdego, który umie i chce kochać i ko- chać się — można mieć nadzie- ję na to, że miłość przestanie odgrywać w naszym życiu li- terackim rolę Wielkiej Upośle- dzonej...

Nie tylko z Łysej Polany

Turyści korzystający z polsko- czechosłowackiej konwencji przy- granicznej, będą mogli wyruszać na tereny Tatr Wysokich po cze- skiej stronie, nie tylko z jedyne- go w tej chwili przejścia granicz- nego na Łysej Polanie. Wkrótce u- ruchomione zostaną bowiem dalsze punkty przejściowe na: Kaspro- wym Wierchu, szczycie Rysów, Mieguszuwieckiej Przełęczy pod Chłopkiem oraz przy Wrotach Cha- lubińskiego.

Prócz tego prawdopodobnie je- szcze w tym roku rozszerzony zo- stanie obszar objęty konwencją. Bę- dzie można wówczas zwiedzać tak- że tereny Tatr Zachodnich, Spisz i Czeskie Karkonosze. O książce, która ułatwi poznanie bratniego

Akademicki Teatr Satyryczny

„PSTRĄGI”

„Radość poważna”, „Czarna przegrana czerwona wygrana”, „Fałszywe nuty” — oto programy trzech studenckich zespołów — gdańskiego („Bim-Bom”), warszawskie- go (S.T.S.) i łódzkie- go („Pstrągi”), wyróż- nione na drugim z ko- lei w tym roku turnie- ju studenckiej saty- ry, zorganizowanym o- statnio we Wrocławiu przez Radę Naczelną Zrzeszenia Studentów Polskich.

Obok zespołu gdań- skiego eksperymentu- jącego w dziedzinie pantonimy filozoficz- no-satyrycznej, jedno- głośnie uznanej jury zyskał łódzki zespół „Pstrągi”, o którego występie pisze Ta- deusz Polanowski („Szpilki” — nr 22): „Pstrągi” lubią, jak wi- adomo — czysty i wartki nurt górskich potoków. Jest w ich spektaklu ten rwa- ący stru- mień naszego czasu, gwał-



towny nurt satyry drapież- nej, płynącej z tak oży- cych źródeł, jak symbolika „Wesela”.

Warto doprawdy, by „Pstrągi” przylpły ze

scym programem także i do Poznania. Na zdjęciu — skecz Leszka Skrzydło pt. „Byt określa świadomość”.

CAF — fot. Szarfarc

Wybitni działacze KPP

PIĘKNY CZŁOWIEK — ŻARLIWY KOMUNISTA

Jest rok 1925. Zdelegalizowa- na Komunistyczna Partia Polski prowadzi trudną, uciąż- liwą walkę z burżuazyjnym rządem polskim. Na najbar- dziej zagrożone odcinki wysła- najofiarniejszych swoich lu- dzi.

Niebezpieczna jest praca w warunkach całkowitej konspi- racji, a jednak kontakty z to- warzyszami są konieczne. Mło- dy Gustaw Henrykowski, sta- ry członek KC, ma „randkę” z

dwoma jeszcze towarzyszami w okolicach warszawskich fil- trów. Towarzysze zauważyli, że są śledzeni. Szybko rozchodzą się w różnych kierunkach. Hen- rykowski wsiada do taksówki, za nim podążają szpiegi. W po- śpiechu sprawdza zawartość kieszeni, drze na drobne kawa- łeczki mogącą go skompromito- wać „bibułę”. Gdy szofer do- wiaduje się, że ścigany jest komunistą, podejmuje się znisz- czyć szczytki „bibuły”. Pościg trwa.

rzana o spekulację, a sami bie- gną do telefonu, aby pochwalić się przed zwierzchnikami uda- nym „połowem”. Przyjrząwszy się uważnie babce i oceniwszy jej „mieszkliwość”, wyłado- wuje Henrykowski z kieszeni resztki „bibuły” i zjada ją co prawda bez apetytu, ale bardzo szybko. Babka przygląda mu się uważnie, a po chwili, biorąc go najwyraźniej za fałszerza pieniędzy, z pochwałą w głosie mówi: „Ale czysto, syneczku pracujesz”. Wracają „dwójka- rze”, zaczyna się rewizja i pierwsze przesłuchanie. Odrobi- nę za późno. Żadnych kompro- mitujących materiałów już nie ma.

Nazajutrz brukowa prasa warszawska podaje sensacyjny opis pościgu i ujęcie dawno po- szukiwanego działacza komu- nistycznego — „Amsterdama”.

Po czterech miesiącach Hen- rykowski opuszcza więzienie. Jak może, stara się mylić ślad policji, deptając mu stale po piętach.

Niezwykle ruchliwy, intere- sujący się niemal wszystkim, potrafi w pociągach, przy sta- łych zmianach miejsca pobytu i działalności, pochłaniać wszy- stkie nowości wydawnicze — zarówno naukowe, jak i bele- trystyczne, urywać czas ze snu i odpoczynku na robotę partyj- ną, nie tracąc przy tym humo- ru, werwy, a często nawet bra- wury.

Świadczy o tym maleńki epi- zod z jego pracy partyjnej. Wraz z towarzyszem Justynem Jaszuńskim delegowany został, w celu porozumienia się z to- warzyszami z okręgu, do Kra- kowa. Na stacji dano im znać, że tajna policja jest na ich tropie i że należy ukrywać się, lub zmylić ślad. W Krakowie tajniacy znają już dobrze twarz Henrykowskiego, mają dokładny opis jego postaci, ści- gają go od dawna.

Henrykowski zdobywa się wtedy na bardzo odważny plan. Wynajmuje starego krakow- skiego fiakra i głównymi uli- cami Krakowa każe się wieźć wraz z Jaszuńskim do najlep- szego krakowskiego hotelu. Oglupiałej policji nie przycho- dzi nawet na myśl szukać ich na pryncypalnych ulicach, czy wśród burżuazyjnej klienteli ho- telowej.

Plan udał się, a Jaszuński i Henrykowski, tym razem — co prawda nie na długo — umknę- li policji.

Halina GRABOWSKA

JULIAN RYNOWIECKI



Pożar w miasteczku
Sygnał zapala w oknach światła
łękiem porusza z nagła serca.
Ogień
obrazy święte
w łonie teściowym i matkom wciśka.
A tam
w płomieniu
mala dębowa kołyska.
Płomienie migoczą w oknach
jak las biorący oddech wiatru.
Święty Florianie!
Święty...
Święte obrazy w dłoniach zakrzepłych.
Pali się dom
karta papieru.
Czy dłonie
obrazy upuszczają na bruk?
Nie.
Na tyle siły stanie.
Spłonęło dziecko!
Święty Florianie...

Nie tracąc orientacji wska- kuje w biegu na przedni po- most tramwaju, jadącego w kierunku Królewskiej. Motor- nicy, który spostrzegł pościg, pyta Henrykowskiego: „to pa- na ścigają?”. Henrykowski ki- wa głową. „Za co?”. „Jestem

komunista” — pada krótka od- powiedź. Motornicy daje gazu, tramwaj pedzi i mimo prote- stów pasażerów i wściekłości goniących szpiegi, mija pełnym gazem trzy następne przystan- ki. Henrykowski wyskakuje w biegu, ale na skrzyżowaniu Pla- cu Saskiego i Wierzbowej nie może już uniknąć pościgu. Zo- staje zatrzymany przez „defe-” i odprowadzony na komisariat policji.

Rozradowani tajniacy zamy- kają go w prawie pustej izbie razem z jakąś babką, podej-



W europejskiej czołówce targowej

Targi Poznańskie są Targami Międzynarodowymi i z tego tytułu rozliczne więzy łączą je zawsze z podobnymi instytucjami w innych krajach. Powstanie współczesnych Targów datuje się od początku obecnego stulecia, dopiero jednak od czasu pierwszej wojny światowej zainicjowała się bardzo poważna wzrost ilości i stale rosnące znaczenie w wymianie międzynarodowej. Od razu też wyonila się potrzeba uregulowania wzajemnych stosunków i stworzenia międzynarodowej organizacji, w której ramach rozpatrywano by wspólne zagadnienia i szukano sposobu rozwiązania kwestii spornych czy wątpliwych, zarówno w odniesieniu do władz i instytucji własnego kraju, jak i krajów obcych.

Co oznacza skrót UFI?

W tym celu na wezwanie Komitetu Targów Mediolańskich przedstawiciele zainteresowanych targów zebrał się w Mediolanie w 1925, a potem 1926 roku, by utworzyć międzynarodowe zrzeszenie targów. Na zjazd w 1926 r. wysłali swoich delegatów następujące targi: Bordeaux, Bruksela, Kolonia, Frankfurt, Lipsk, Ljubljana, Lyon, Lwów, Mediolan, Niżnij Nowgorod, Padwa, Paryż, Utrecht i Walencja. Uchwalono jednomyślnie utworzenie organizacji pod nazwą: Związek Targów Międzynarodowych (Union des Foires Internationales). Prezesem Związku został wybrany P. Nava — prezes Targów Mediolańskich. Wyznaczono również komisję dla przygotowania przyszłych kongresów, opracowania statutu nowego zrzeszenia i nawiązania kontaktów z europejskimi instytucjami gospodarczymi.

Targi Poznańskie przystąpiły do Związku w 1928 roku. W r. 1930 odbył się w Poznaniu kongres Związku Targów Międzynarodowych, na którym przyjęty został statut, podpisany przez przedstawicieli targów następujących miast: Bordeaux, Bruksela, Budapeszt, Kolonia, Gdańsk, Fiume, Frankfurt, Lille, Lipsk, Lyon, Ljubljana, Lwów, Marsylia, Mediolan, Niżnij Nowgorod, Padwa, Paryż, Poznań, Praga, Reichenberg, Saloniki, Trypolis, Utrecht, Walencja i Zagrzeb.

Międzynarodowe Targi Poznańskie w okresie międzywojennym brały bardzo intensywny udział w pracach U.F.I. Statut U. F. I., uchwalony na kongresie w Poznaniu w 1930 r., był w głównej mierze oparty na projekcie, opracowanym przez Dyрекcję MTP. Ponadto w okresie od 1930 r. do wybuchu II wojny światowej, do zarządu Związku z ramienia Międzynarodowych Targów Poznańskich wchodził dyrektor MTP — Stefan Ropp.

MTP — członkiem założycielem

W nowym statucie U. F. I., przyjętym na kongresie paryskim w 1949 roku, a ustalonym ostatecznie przez kongres w Walencji w 1949 roku, uchwalono, że targom, które uczestniczyły w przyjęciu statutu Związku w 1930 r., a więc i Targom Poznańskim — przysługuje tytuł członka założyciela.

A oto inne ważniejsze postanowienia statutu U. F. I. Podstawowym zadaniem U. F. I. jest koordynowanie tzw. kalendarza targów (tzn. zapobieganie, by imprezy targowe nie odbywały się w tym samym czasie), uzyskiwanie ulżyć transportowych, celnych, wlotowych i paszportowych, arbitraż między poszczególnymi instytucjami targowymi, zbieranie informacji o rozwoju targów i pro-

wadzenie akcji dokumentarnej. Oprócz członków — założycieli do U. F. I. wchodzi członkowie czynni i członkowie dopuszczeni. Członkami czynnymi są targi zorganizowane w kraju, w którym w chwili złożenia wniosku o przyjęcie do Związku, nie ma jeszcze targów, będących członkiem Związku. Członkami dopuszczonymi są targi — jedno z wielu w danym kraju, ubiegające się o przyjęcie. Targi te muszą być oddalone co najmniej o 150 km od targów tego samego lub obcego kraju, będących już członkiem U. F. I. Zarząd i siedziba Związku Targów Międzynarodowych wyznaczane są na okres czteroletni.

Obecnie członkami U. F. I. są następujące targi: Barcelona, Bari, Bordeaux, Bruksela, Casablanca, Frankfurt nad Menem, Gandawa, Hannover, Izmir, Kolonia, Lipsk, Lille, Luksemburg, Lyon, Marsylia, Metz, Mediolan, Osaka, Padwa, Paryż, Płocidw, Poznań, Sztokholm, Strasburg, Saloniki, Triest, Utrecht, Walencja, Weronia, Wiedeń, Zagrzeb. Związek, którego siedzibą jest Paryż, wydaje miesięcznik „Les Foires Internationales”, będący oficjalnym organem U. F. I. Wychodzą trzy odrębne edycje tego miesięcznika: angielska, francuska i niemiecka. Prezesem U. F. I. jest obecnie M. L. Chatin — prezes Targów w Lyonie. W skład zarządu wchodzi przedstawiciele targów w Brukseli, Hannoverze, Lipsku, Kolonii, Marsylii, Mediolanie, Paryżu, Sztokholmie, Utrechcie, Walencji, Weronie i Wiedniu.

Bariery — tworem sztucznym

Związek Targów Międzynarodowych ma w obecnej dobie szczególnie doniosłe zadanie do spełnienia. Grupuje on zarówno targi krajów kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. Handel międzynarodowy jest tą dziedziną, w której praktycznie realizuje się zasada współpracy i pokojowego współistnienia różnych ustroju społeczeństwa-gospodarczych. Istnienie jednego zrzeszenia wszystkich instytucji targowych, utrzymujących z sobą przyjazne i pełne wzajemnego zrozumienia stosunki, jest najlepszym dowodem sztuczności barier wzniesionych między różnymi krajami, jest dowodem niepodzielności gospodarczej świata.

Już w okresie międzywojennym Targi Poznańskie pozyskały sobie duże znaczenie międzynarodowe, należąc — wraz z Mediolanem, Lyonem i Lipskiem — do czwórki największych targów europejskich. Również i obecnie Targi Poznańskie, mimo całkowitego zniszczenia terenów w czasie wojny i bardzo niekorzystnej dla obrotów handlowych 5-letniej przerwy, zmierzają pewnym krokiem do odzyskania swej dawnej wybitnej roli.

Pod względem tradycji handlowych nie ustępują żadnemu innemu ośrodkowi; co do powierzchni ni terenów targowych (obecnie 230.000 m²) znajdują się mniej więcej na równi z targami w Bari (200.000 m²), Lipsku (235.000 m²),

Lille (200.000 m²), Marsylii (230.000 m²). Również i ilość zwiedzających Targi Poznańskie w 1955 r. (1.300 tys. osób) była nie mniejsza niż na innych imprezach targowych (Bari — 1,5 mil., Bruksela — 1 milion, Lille — 1,5 mil., Lipsk — 1 milion, Marsylia — 1 milion).

Coraz korzystniej także kształtuje się udział wystawców zagranicznych. Jeśli w roku 1955 w Targach Poznańskich wzięli udział wystawcy z 24 krajów europejskich i zamorskich, to w bieżącym roku biorą udział firmy z 34 państw z całego świata. Dla przykładu warto podać, iż w Targach Lipskich, będących wszak imprezą targową na wielką skalę, brało ostatnio udział 30 państw. Ciągłe natomiast ustępują jeszcze Targi Poznańskie innym większym targom pod względem wysokości zawartych transakcji. W stosunku do Lipska wskaźnik ten jest np. trzykrotnie niższy. Rzecz to zrozumieliśmy wobec kilkuletniej przerwy w urządzaniu imprezy poznańskiej i konieczności odnawiania przerwanych kontaktów handlowych. Już w tym roku jednak transakcje będą na pewno o wiele wyższe.

Warto i trzeba

Jak z tego krótkiego przeglądu widać, Targi Poznańskie znajdują się w czołówce targów europejskich. Jedne są tylko targi w Europie, które biją na głowę wszystkie inne imprezy targowe. Są to Targi w Mediolanie, będące par excellence (w całym znaczeniu tego wyrazu — red.) targami światowymi, gromadzącymi wystawców przeciętnie z 40—50 państw. Powierzchnia terenów targowych wynosi tam 480.000 m², ilość zwiedzających przekracza 4 mil., a nowoczesność i wysoka technika urządzeń i wyposażenia terenów przewyższają wszystko to, co w tej dziedzinie w innych ośrodkach dokonano.

Pod jednym wszakże względem Targi Poznańskie górują zdecydowanie nad innymi tego rodzaju instytucjami. We wszystkich prawie miastach tereny targowe znajdują się



Jedną z arterii największych w Europie — Targów Mediolańskich.

dość daleko od centrum. Jeden Poznań posiada tak centralnie w organizmie miejskim, tuż przy dworcu, położone tereny. Dodać trzeba, iż istnieją dalsze możliwości ich rozprzestrzenienia w kierunku ul. Ulańskiej, nie mówiąc już o możliwościach intensywniejszego wykorzystania obecnego terenu, jego modernizacji i ujednolicenia architektonicznego.

Nie ulega wątpliwości, iż w ślad za rokrocznym urządzaniem Targów Poznańskich pójdzie przebudowa ich urządzeń, co pozwoli, dzięki wysokim walorom plastycznym terenu, na uczynienie z Targów Poznańskich jednych z piękniejszych terenów targowych w Europie.

Rekordy obżarstwa

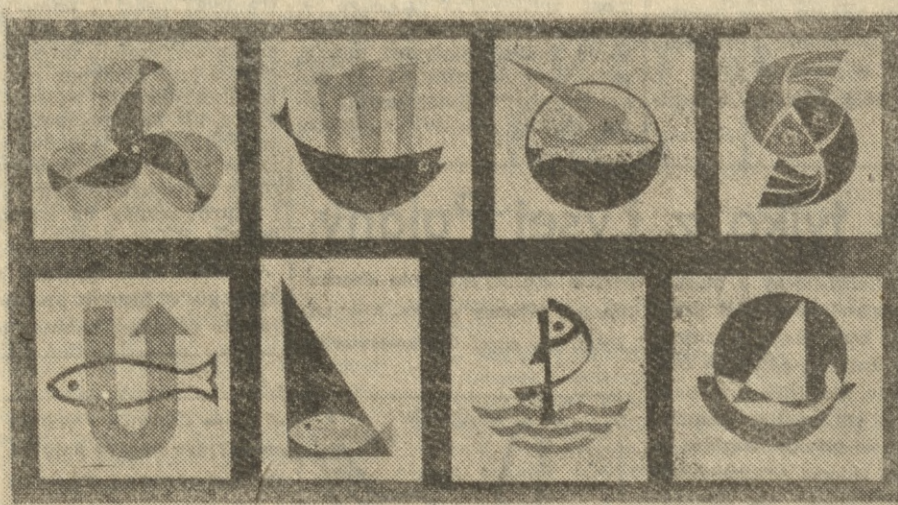
Wiedeńczyk Alois Askalsky zjadł w ciągu dwóch godzin 2 kg siekanego mięsa oraz wypił 180 surowych jajek. Podczas tradycyjnego jedzenia tortów w Nevillis, zwycięstwo odniósł pewien kupiec, który skonsumował w 65 minutach cztery i pół tortu. W Ameryce jeden z obywateli filadelfijskich „zmęczył” w ciągu doby 77 pasztetów z podróbek wątrobianych oraz 17 kurczaków, zapijając całość 24 szklankami mleka i 6 butelkami wody

sodowej; wyczynu dokonywał pod nadzorem lekarza (!?).

W RAZIE POTRZEBY

Burmistrz małej miejsciny pod Brukselą radzi wszystkim młodym parom, zawierającym w jego obecności ślub, aby nagrali na płytę gramofonową wypowiedziane przez siebie słowa przyrzeczenia. Potem z szelmowskim uśmiechem wręcza uroczyste płytę rozpromienionym oblubieńcom; na odwrotnej stronie znajduje się marsz weselny z „Lohenglina”.

Zobaczmy je na statkach rybackich



Te odznaczające się pomysłowością symbole — to wynik konkursu otwartego Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków na emblematy dla Przedsiębiorstw Połowów i Usług Rybackich. Na zdjęciu emblematy wytypowane przez sąd konkursowy do pierwszych nagród: „Dalmor” — Gdynia, „Arka” — Gdynia, „Arka” — Hel, „Szkuner” — Władysławowo, „Korab” — Ustka, „Barka” — Kołobrzeg, „Kuter” — Darłowo i „Odra” — Swinoujście.

Osiem pierwszych nagród uzyskał: 1. ANTONI RZYSKI — POZNAN; 2. Ryszard Dudek, Warszawa; 3. Edmund, Jerzy Kaniewski — Łódź; 4. Stefan Rzepecki — Warszawa; 5. Kazimierz Madziński — Łódź; 6. JERZY BUSZKIEWICZ, JAN KOPYŁOWSKI, ZENON STĘPNIEWSKI — POZNAN; 7. Stefan Rzepecki — Warszawa; 8. Marian Puchalski — Warszawa. Osiem drugich nagród zdobyli: 1. Jerzy Cherka — Warszawa; 2.

ZBIGNIEW KAJA — POZNAN; 3. Tadeusz Kowalski i Bohdan Jędrzejewski — Warszawa; 4, 5 i 7. Ryszard Dudek — Warszawa; 6. Ryszard Sidorowski — Warszawa; 8. Jan Kurkiewicz i Mieczysław Bochar — Kraków. Wyróżnienia: 1. i 2. Jerzy Kempkiewicz — Warszawa; 3. Sylwester Wleczorek — Sopot; 4. Hubert Hilscher — Warszawa; 5. Jerzy Cherka — Warszawa; 6. ZBIGNIEW KAJA — POZNAN; 7. i 8. Eugeniusz Stec — Warszawa.

Jeżeli nie znasz Czechosłowacji...

...przeżył książkę Zbigniewa Antonowicza pt. „Nasi sąsiedzi zza gór”.

Każdy z nas z dużym zainteresowaniem czyta opowieści o dalekich, egzotycznych krajinach leżących hen, daleko, na innych kontynentach. Jesteśmy ciekawi, jak tam żyją ludzie, jakie posiadają bogactwa; jesteśmy zadowoleni i lekko uda nam się popisać wiadomościami o Brazylii, Kongo czy o Tybecie. Jeżeli zaś idzie o najbliższych sąsiadów, to często nasze zainteresowania ograniczają się do pytań: „gdzie można kupić ciekawe buty?”, albo „ile kosztuje kożuszek węgierski?”. Poza tym żyjemy w błogim przekonaniu, że wszystko o nich wiemy. Czy na pewno?

Sprawdźmy to na książce Antonowicza. Praca ta jest prawdziwą podręczną encyklopedią o naszym południowym sąsiedzie — o Czechosłowacji. Czytelnik znajdzie w niej wiadomości geograficzne i historyczne o przeszłości Czechosłowacji i o jej teraźniejszości — a wszystko poparte liczbami, konkretnymi informacjami. Aż dziw bierze, że w stosunkowo niedużej, bo liczącej 233 strony książce, autor mógł zmieścić tyle solidnie opracowanych materiałów. Gdy mowa o geografii, autor nie zapomina i o geologii, i klimacie, o roślinności, o zwierzętach. Przechodząc do dziejów historycznych — sięga do początku, do czasów prasłowiańskich, pokazując m. in. na podstawie analogii językowych, nasze wspólne, słowiańskie pochodzenie.

Rzecz jasna, dzieje Czechosłowacji pokazano w świetle najnowszych badań — są to dzieje narodu a nie jednostek. To nie znaczy, że Antonowicz nie mówi o wybitnych postaciach w dziejach Czechosłowacji. Przeciwnie — czytelnik dowiedzie się bardzo wiele np. o Husie, o Žižce — o tych, którzy przewodzili walkom ludu czechoskiego z podporami feudalnego ustroju. Autor wydobława postępowe tradycje narodu czechoskiego. Pokazuje okres „budzieli” w XVIII wieku, pokazuje walkę Partii Komunistycznej w okresie międzywojennym, pokazuje Czechosłowację w czasie wojny, no i po wojnie, po wyzwoleniu, aż do ostatnich niemal dni. Czytamy w tej książce o zwycięstwach i o klęskach — o wszystkim, co jest udziałem każdego narodu.

Najwięcej miejsca poświęca autor nowej, ludowej Czechosłowacji. Daje obraz jej pierwszych dni, pierwszych kroków, które prowadziły coraz wyżej i wyżej. Oczywiście po drodze zdarzały się wyboje, przeszkody, które naród czechosłowacki potrafił jednak usunąć. „Zwycięstwa nie przychodzi łatwo...” — powiada autor. I my coś o tym wiemy. Ale narody, którym przyświe-

Rozmaitości

Best — sellerem austriackiego sezonu wydawniczego okazał się pamiętnik słynnego reprezentacyjnego piłkarza Ocwirka pt. „Dookoła świata!”, pierwsze wydanie rozszło się w ciągu kilku dni.

Ośmiu alpinistów dokonuje poszukiwań w wawozach Kordyleńców za ogromnym skarbem ukrytym niedługo przez Jezuitów, którzy zmuszeni byli opuścić Peru na skutek prześladowań ze strony wicekróla Hiszpanii.

Przemysłowi zachodnio-niemieckiemu brakuje 40 tysięcy inżynierów, przy czym deficyt wzrasta corocznie o 5 tysięcy dyplomowanych techników; w ZSRR szkoły wyższe wypuszczają co roku 60 tysięcy inżynierów, a w USA od 25 do 30 tysięcy.

Radziecka ekspedycja naukowa przebywająca na Antarktydzie, założyła nową stację doświadczalną na wysokości 2.600 m nad poziomem morza w odległości 400 km od bazy głównej.

X-ty Kongres estetyki i kosmetyki zakończył swe obrady w Brukseli; w centrum zainteresowania stały zagadnienia opalania skóry promieniami słonecznymi oraz sprawy związane z chirurgią plastyczną.

Kości rozmaitych zwierząt na potrzeby chirurgiczne można już obecnie magazynować w szpitalach; tak na przykład kości z krowy po odpowiednim spreparowaniu, przyjmują się doskonale w organizmie ludzkim.

ca sprawiedliwy, szlachetny cel, nie zrażają się tak szybko przeszkodami.

Rosnie więc mała, ale bogata Czechosłowacja, rozwija się jej przemysł, nabiera coraz większego znaczenia w świecie kraj, który był kiedyś zepiekem narodowości, dziś zaś jest jednolitym państwem bratnich narodów. Autor daje dość dokładne opracowanie obrazu przemysłu czechosłowackiego, pokazuje rolnictwo, transport, handel, stosunki gospodarcze między krajami obozu socjalizmu, obrotu zagranicę.

Uporawszy się z wiadomościami ogólnymi, autor wybiera się z czytelnikami na wędrowkę „wzdłuż i wszerz Czechosłowacji” — rozpoczynając ją oczywiście od stolicy, od „złotej Pragi”. Zwiedzamy wszystkie ciekawsze zakątki Czechosłowacji. Poznajemy bliżej Morawy, ludowe piękno Słowacji, oglądamy Tatry, przeżywamy tragiczną historię Lidic; poznajemy dzieje Złina-Gottwaldowa, gdzie niedługo mieścił się koncert Baty; zwiedzamy Nową Hutę w Kuńczycach.

Pokazując piękną, zwycięską teraźniejszość, autor porównuje ją z tym, co było, ze smutną przeszłością. Z książki Antonowicza dowiemy się czytelnik o powiązaniach naszego narodu z Czechosłowacją, o powiązaniach, które wynikają ze wspólnej drogi, którą idziemy, ze wspólnych celów, do których dążymy, z prawdziwie proletariackiego internacjonalizmu.

Książka Antonowicza, pełna bardzo ciekawych informacji, napisana żywo, barwnie, zaostrzona wieloma pięknymi ilustracjami, owiana serdeczną życzliwością dla bratniego narodu — stanowi szczególnie cenną pozycję dla wszystkich, którzy korzystając z konwencji przygranicznej wybierają się do Czechosłowacji. St. O.

*) Zbigniew Antonowicz: „Nasi sąsiedzi zza gór”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1955, str. 233, cena zł 8,30.

NA ŁONIE NATURY

Biuro pośrednictwa małżeństw w Tulonie (Francja) wynajęło kawałek lasu, kazało go ogrodzić i umieścić przy wejściu napis: „Park dla zakochanych”.

Kandydaci do stanu małżeńskiego, proszeni są zwykle, aby przeszli się na rozmowę do parku. Efekty są podobno znakomite, gdyż według opinii ekspertów, przechadzki w lesie lepiej rozwiązują języki, aniżeli wysiadanie w zamkniętym lokalu.

O stylu i bezstylowości

Leon Bukowiecki

Prawie już od dziesięciu lat włoska szkoła neorealizmu kroczy na czele kinematografii światowej. Jest to ładny szmat czasu, który może się jedynie równać okresowi radzieckiej klasyki rewolucyjnej, który przodował światu w latach 1934 („Czapa-jew”) — 1941. Wszelkie pojawiające się raz po raz na Zachodzie pogłoski o upadku albo o zbliżającym się upadku neorealizmu okazały się błędne, a co najmniej przedwczesne. Oczywiście są krytycy, którzy bardzo sobie tego upadku życzą i w każdym filmie, który nie naśladuje ortodoksyjnie „Złodego rowerów” i nie mówi o nędzy bezrobotnych upatrują „upadek” neorealizmu.

Jeden z najwybitniejszych scenarzystów filmowych świata Cesare Zavattini twierdzi z daleko większą słusnością, że nieustanne powtarzanie się byłoby właśnie upadkiem. Przede wszystkim trudno zrobić w tym samym kraju po raz drugi dzieło na miarę „Złodego rowerów”, a po za tym czy publiczność może stale patrzeć na to samo?

Jeśli wielcy realizatorzy włoscy tworzą dzisiaj takie filmy jak „Zmysły” (historia ze świata arystokracji), jak „Na gościnnym” (dziejże brutalna i idiotki, którzy spotkali się na szerokich drogach nędzy i wyzysku), „Dni miłości” (film najbardziej zgodny z tytułem) i wiele innych — to bynajmniej nie znaczy, że zdobywcę neorealizmu zostali pogrzebane. Znaczący to, że starzy i nowi realizatorzy stale dążą do odnowienia, odmłodzenia, do wynalezienia nowych, współczesnych konfliktów i nowej tematyki.

Zdawałoby się, że wszystkie te tezy są jasne i nie wymagają żadnych dyskusji. Potrzebna jest próba ze strony realizatorów w innych państwach do podjęcia hasła wielkich reżyserów włoskich — oczywiście po ich przeanalizowaniu i przeformowaniu dla własnych potrzeb. Tak postąpili realizatorzy japońscy, tak jak Włosi powołują się na klasykę radziecką. Tak samo wiele nauczyli się od Włochów Hindusi, realizatorzy meksykańscy, twórcy egipscy, a nawet jugosłowiańscy — jak to zobaczymy w niektórych, nadchodzących filmach jugosłowiańskich.

Wpływ „włoskich” iakoś nikt się nie „wstydz”, tak samo jak najwybitniejsi twórcy włoscy Visconti, de Santis, de Sica i inni nie „wstydzili się” szukając natchnienia w „Trylogii o Maksymie” czy w „Dzieciństwie Gorkiego”.

Gdy niektórzy widzowie w Polsce, a także krytycy zauważali znaczne wpływy stylu włoskiego na „Pokolenie” i „Godziny nadziei”, powstała atmosfera pachnąca małym „skandalem”. „Wzorumy się na Włochach?” „To niedopuszczalne!” itd. Była to krytyka negatywna i jak najbardziej niesłuszna. Jasne jest, że możemy się wzorować na zdobywcach włoskich, chociaż klasyka rewolucyjna radziecka powinna nam być bliższa ze względu na zwycięstwo klasy robotniczej w obu naszych krajach. Nie powinniśmy natomiast ślepo stosować wzorów włoskich bez e-

nergicznych prób stworzenia własnego stylu.

Oczywiście rozpatrywanie jednej sztuki w oderwaniu od drugiej jest bezsensowne. Dlatego mogą powstać wątpliwości: jakże tu wołać o polski styl w filmie, skoro go nie ma w malarstwie, rzeźbie i zwłaszcza w architekturze, z którą słowo „styl” jest najbardziej związane.

Nie mówiąc już o tym, że tu i ówdzie się jakoś nasza odrębność przejawia, że istnieje ona na przykład w przodującym Europie plakacie — to że inne sztuki nie doszły do koncepcji stylu, nie stanowi u-

dziny nadziei” miały swe wady — nie były to wady „włoskie”, a jeśli były — prosimy o więcej.

Najgorsze są bowiem te filmy, które padają płasko jak ludzkie wycięci z gazety w trickowych filmach sprzed 50 lat; filmy bez żadnego stylu, bez żadnej odrębności, bez żadnej ambicji, aby stworzyć coś czego inny naród i inny kraj stworzyć nie może.

Dzisiaj nie ma już średnio wykształconego widza kinowego, który by nie znał jako tako szkoły włoskiej, który by nie słyszał o szkole japońskiej, hinduskiej, meksykańskiej. W 61 roku kinematografii najwyższy już czas na inaugurację szkoły polskiej.

Na ekranach w czerwcu...



sprawiedliwienia kinematografii.

A że w tej dziedzinie nie jest dobrze — świadczą na równi z nami nasi sąsiedzi z krajów demokracji ludowej. Najbardziej odrębnie wystartowała „DEFA” — jeszcze w okresie istnienia radzieckiej strefy okupacyjnej w Niemczech wschodnich. Takie filmy jak „Nasz chleb powszedni”, „Gdzieś w Berlinie”, „Małeństwo w mroku”, „Mordercy są wśród nas” — świadczą o ambitnych planach realizatorów NRD stworzenia własnego stylu filmowego. Ostatnie filmy „DEFA” upodobiły się niestety tak bardzo do filmów czeskich czy polskich, że podłożenie dubbingu nie sprawia teoretycznie żadnego kłopotu.

Dubbing jest z n a k o m i t y m wynalazkiem dla filmów kosmopolitycznych. Jest bowiem najzupełniej obojętne jakim językiem mówią ludzie nie wychodzący poza luksusowe salony. Setkom takich filmów można dowoli podkładać wszystkie języki bez wielkiej szkody dla sztuki, której w nich nie ma od kołyski. Ale czy można by zdubbingować: „Ziemia drży?”, „Pod niebem Sycylii?”, angielski typowy i „stylowy” film „Wyrocznia”, stylowego amerykańskiego „Małego uciekiniera” albo „Czerwona oberżę”? Dubbing wszystkich tych filmów byłby masyakra. Są one bowiem jednoznacznie narodowe, a nawet w pewnej mierze prowincjonalne.

A teraz powróćmy do aktualności. Czy można zdubbingować „Zaczarowany rower”? Bez najmniejszej szkody. „Pod hałm w ogniu”? Ditto. Uważam nawet, że ten film po czesku mógłby być niezmiernie podobny do dziesiątków takich filmów powstałych na Barandovie z „Psiogłowcami” na czele.

Choć „Pokolenie” było bardzo niedoskonałe i „Co-

zobaczmy film produkcji węgierskiej (reżysera Viktora Gertlera) „Kłamstwo Judyty”. Na zdjęciu: Violetta Ferrari w jednej ze scen filmu.

Fot. — CAF



Siedziba królów Kambodży.

Kambodża to kraj o urzekającej egzotyce, a jednocześnie o bardzo starej kulturze sięgającej VII w., w którym do Kambodży przedostała się z Indii kultura buddyjska, wypierając dawniejszą — brahminską.

Pierwszym napisem w języku khmerskim jest tekst z 629 roku, wryty w kamieniu alfabetycznym pochodzenia sanskryckiego. Od tego też czasu datuje się literatura khmerska, obejmująca dzieła historyczne, religijne, naukowe, przede wszystkim zaś opowiadania i poematy ludowe oraz pieśni, żyjące do dzisiejszego dnia wśród szerokich rzesz narodu.

Żywnymi dowodami starej kultury są wspaniałe zabytki architektoniczne, wśród których jednym z najcenniejszych jest klasztor górski w Wat-Fu nad rzeką Mekong, zajmowany przez buddystów. Natomiast za przykład połączenia architektury indochińskiej ze syamską służyć może pałac w stolicy Kambodży Phnom-Penh, zbudowany przez króla Siza-wathmoniwongę, 97 władcy Kambodży. Świadczy o tym teleskopowe zakończenia dachu, rzeźbione wieżyczki i lśniące, glazurowane powierzchnie dachów.

EGZOTYKA KAMBODŻY



W stolicy Kambodży — Phnom Penh. Fot. — CAF

Współczesna sztuka Kambodży nawiązuje do starych tradycji architektury i rzeźby Khmerów, która w X—XIV w. promieniowała na całe Indochiny.

W. E.

Pył czasu i wielkie imiona

Zagladnałem niedawno do Czeszewa w powiecie wągrowieckim. Ciekawy byłem, w jaki sposób uczono tam pamięć dwóch sławnych wielkopolan: Pantaleona Szumana i Karola Libelta, którzy znaleźli tam spoczynek po zakończeniu bardzo pracowitego i ofiarnego dla sprawy polskiej życia. Trzeba by tu podkreślić olbrzymi wpływ, jaki wywierał przed przeszło stu laty wspomniany Pantaleon Szuman. Sam związany z domem Staszyców w Pile, był zachętą i wzorem dla dzieciów swego brata — Karola Libelta i Teofila Małeckiego. Grób jego za kościołem opanowują mech. O grobie zaś Karola Libelta mówi tablica na jednym ze słupów przykościelnych.

„W tym kościele spoczywa zasłużony syn Poznania Karol Libelt 8. 4. 1807 — 9. 6. 1875. W 80 rocznicę zgonu 9. 6. 1955.”

Jako fundator widnieje: „Poznańczyk”. Zadałem sobie pytanie, dlaczego nie powiat wągrowiecki, Poznaniacy lub Wielkopole? Tyle było różnych rocznic, wśród których wiele razy przewijały się oba nazwiska. Zapomnieli o nich — historycy, działacze społeczni, miejscowa władza.

Przed 5 laty minęła trzecie rocznica pierwszej chłopskiej rozprawy w Królikowie pod Koninem. Piękny to był zryw mas chłopskich o wolność i o ludzkie prawa. Czy nie godziłoby się tego wydarzenia upamiętnić za pomocą choćby kamiennego pomnika?

Nic też na polach pod Lubrą (niedaleko N. Miasta) nie przypomina, że przed trzema setkami lat chłopci dali tu dowód swego patriotyzmu w walce z najeźdźcą szwedzkim. A jest to przecież jedna z najchlubniejszych kart walki klasy uciskanej w czasach Rzeczypospolitej Szlacheckiej.

Bohaterów godnych pamięci mamy znacznie więcej. Na przykład w Bąblinie pod Obornikami spoczywa syn ubogich rodziców z pow. średzkiego — uczestnik wojen napoleońskich, przyjaciel Waleriana Łukasińskiego i członek Towarzystwa Demokratycznego, powstaniec listopadowy — Mikołaj Dobrzycki (1793—1848), który w czasie Wiosny Ludów poległ od kuli pruskiej. Nad jego grobem

wznosi się obelisk, lecz nie wiele on mówi o okolicznym mieszkańcom.

Są i inne również wymowne wydarzenia. Pierwsze w Polsce wiejskie przedszkole, założone przed przeszło 125 laty w Podrzeczu pod Gostyniem, albo założony (1842) staraniem Towarzystwa Pomocy Naukowej konwikt przygotowujący młodzież wiejską do gimnazjum. W pierwszej miejscowości należałoby uwiecznić nazwisko Franciszki Przewoźnej, a w drugiej — nauczyciela Dykier-ta.

Obowiązek nawiązywania do chlubnych tradycji postępowych spełnia niewiele powiatów; najwięcej z nich wyróżnia się powiat średzki. Z inicjatywy tamtejszego oddziału kultury chłopcy Polwicy zabrał się do wystawienia pomnika z polnych kamieni. Odżyje w tamtejszej okolicy pamięć wielkiego demokraty, rewolucjonisty, działacza, badacza, żołnierza i poety — Ryszarda Wincentego Berwińskiego.

Ten sam powiat przygotowuje uroczystości czerwcowe w Drzazgowie, gdzie światło ujrzał jeden z największych polskich pedagogów — Ewaryst Estkowski.

Powiat gnieźnieński nie zapomni o Onufrym Kopczyńskim — pierwszym polskim gramatyku. 8 maja br. obchodził trzecie rocznicę zwycięstwa Czarnieckiego nad Szwedami pod Kłeckiem. W ten sposób odświeżona została pamięć, niekoniecznie przecież i nie wszędzie trzeba stawiać wyłączne pomniki.

Włoszakowice w pow. leszczyńskim przygotowują w tej chwili rocznicę śmierci ojca polskiej sceny operowej, a syna tamtejszego organisty Marcina — Karola Kurpińskiego. Rzeźbiarz ludowy Leon Dudek postanowił postać wielkiego muzyka utrwalić w kamiennym pomniku. Pałac myśliwski, w którym obecnie „gnieździ” się „Las”, prawdopodobnie zamieni się w Dom Kultury im. K. Kurpińskiego — w żywy pomnik tego wielkiego muzyka.

Myślę tu także o podobnych, żywych pomnikach, które przypominająby mieszkańcom wsi

wielkich ludzi, związanych z nią w jakikolwiek sposób. Czy nie godziłoby się nadać świetlicy w Kąkolewie imienia autora „Ramot i Ramotek” A. Wilkońskiego? Szkoła w Kraplewie (pod Stęszewem) mogłaby nosić imię Józefa Łukaszewicza — pierwszego historyka szkół w Polsce. Nie powinna Dusina pod Gostyniem zapomnieć o Jędrzeju Moraczewskim, autorze 8 tomów „Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej”. „Jego dom w Poznaniu — jak pisze St. Karwowski — stał się zbiorowiskiem wszystkich ówczesnych postępowych postaci”. Dlaczego

Konin zupełnie zapomniał o swoim Ściegiennym — księdzu Tarejwie, bojownikowi sprawy chłopskiej z powstania styczniowego?

Mógłby Kobylin utrwalić pamięć poety Samuela ze Skrzypna — Twardowskiego, który w XVII w. siedział na dzierżawie w pobliskim Zalesiu Wielkim. Godziłoby się też Strzelcom Wielkim pod Piaskami świetlicę swoją nazwać imieniem rywala Jana z Czarnolasu — Kaspra Miaskowskiego. Bo i jeden i drugi wielkopolski poeta coś tam dorzucił do skarbcza naszej kultury.

Nie będę mnożył przykładów. Chodzi o to, aby pył czasu nie przykrył zupełnie imion godnych pamięci.

J. P.

Z teki H. Derwicha: „Niedziela za miastem”

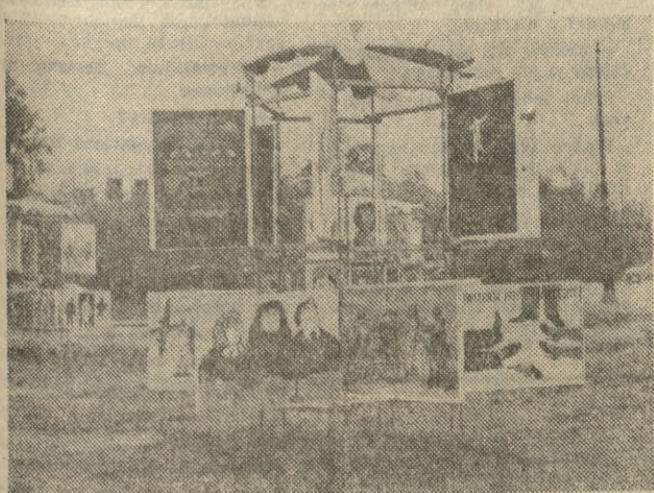


Świąteczna porcja hałasu, po bezdźwiękowym ruchu w mieście!



...A co, nie mówili? — Jeszcze sto osób wejdzie do tego przedziału...

Rys. H. Derwich



W Warszawie odbyła się pierwsza polska wystawa plakatu filmowego (na zdjęciu jeden z 12 kiosków wystawy). Wystawa ściga tłumy widzów i interesantów, którzy chcieli ją przeniesić „żywem” do Krakowa, Rzeszowa, Gdańska itd. Konkurencję tę wygrał Poznań. Pokaz plakatu filmowego będziemy mogli oglądać w czasie Międzynarodowych Targów na placu Wolności.

Fot. — CAF

NA SZLAKACH KOMET

Niebawem znów znaleźli się na pokładzie statku. Matsuoki był z nimi. Przez cały czas nie odzywał się ani słowem.

— Teraz na bieżąco — szepnęła Bara, stając za plecami męża — zdjęcia możemy zrobić później.

Na ekranie płynęły rudawe płaszczyzny płaskowzgórzy, porzeczniane szarymi smugami dolin, środkiem których biegły kanały. Tu rozdziły się i pracowały istoty, których droga życiowa wiodła do zdradzieckiej pułapki małacznego oka. Czuli potęgę, za plecami której przyczaiła się kilka ku górze — wladców podziemnej stolicy.

Za kregiem podbiegunowym słońce obniżyło się znacznie. Trwał tu dzień polarny. Dobroczynne działanie nie zachodzącego słońca widoczne było we wzmożonej wegetacji roślinnej. Zdało się dziewczynie, że widzi masowe kwitnienie jakichś złotych kwiatów. Tu jedynie w okresie letnim temperatura nie spadała przez długi czas poniżej zera. Kraj ten mógł być śpiącym żywiołem — stąd czerpano wodę, sprowadzając podziemnymi rurociągami do stolicy na Syrcie. Woda, którą wydawało ludności za pocatunek oka. Bara wzdrygnęła się. Koszmar stworzony przez nią dziesięć lat temu stał się rzeczywistością.

Nagle spostrzegła, że statek się obniża. Dag Rossa dostrzegł widocznie pierwszy to, co ona spostrzegła się tu zobaczyła.

Spojrzała na ekran i ujrzała okragłe wzgórce, zupełnie podobne do tego, jakie wznosiło się na Syrcie. Różnica polegała tylko na tym, że leżało niżej w dolinie i nie zdołał je stożek wygasłego wulkanu. A zatem trafnie odgadła tajemnicę okragłej tarczy. Nie było to słońce, lecz symboliczna mapa planety. Woda biegnąca i ciepło wulkanu, dwa czynniki niezbędne do życia wladców podziemi.

— Patrz, takie same wejście jak na Syrcie — powiedział Dag Rossa — jak wpadłaś na to?

— To wypływa jedno z drugiego — odpowiedziała Bara i nagle poczuła na sobie cały ciężar sześćdziesięciu bezsennych godzin. Niebiesko-czerwone krajobrazy, rozmaite pędem, płynęły przed jej oczami, podobne do dwukolorowej mapy. Na tarczach przyrządów błyskały światła. Myśli i wrażenia pulsowały w świadomości, jak zielone kęsy na ekranie magnofonu.

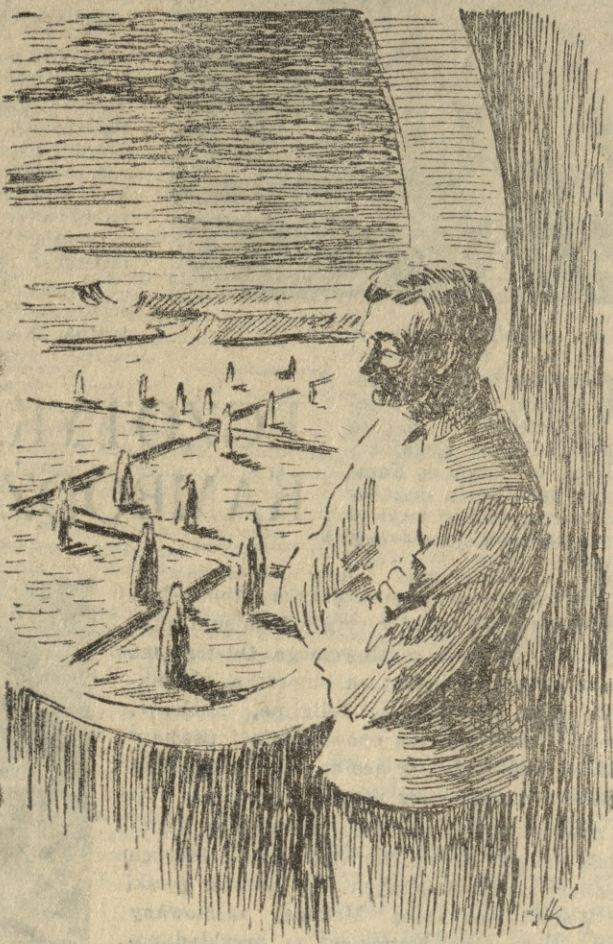
— Muszę się położyć — szepnęła — obudź mnie, jak tylko wyładujemy.

Kao Matsuoki w milczeniu obserwował pracę kartografów, po których oczekiwał tak wiele. Ta przybyła z Wenery, młoda kobieta w ciągu dwóch dni okradła go ze złudzeń, uciulaną w ciągu północnej zmudnej pracy na tym ponurym cmentarnym globie. Poza tym obserwowała go odpowiedzialnością za śmierć dwójki ludzi. Jak się to stało?

Chodził po pokładzie i zaciskał pięści z nienawiścią do siebie samego. Przecież właściwie odkrył to samo. Przewidywał również możliwość istnienia innych miast. Po to przecież robiono te zdjęcia. Inaczej jednak interpretował to wszystko. A przecież ostatecznie miedzy samobójstwem a samooferą nie ma prawie żadnej różnicy — „prawie żadnej” — powtórzył.

Zbliżył się do iluminatora i wpaływał się w dół, gdzie wzdłuż wąskiej smugi kanału wznosiły się owe kopce, podobne do guzów termidów, a będące pozostałością po wsi marsjańskiej. Istoty, które wykonały te kanały, w niewłaściwym kierunku skierowały swe zdolności. Bo przecież mogłyby dostarczyć sobie wszystkiego, co jest niezbędne dla życia, gdyby zamiast pułapek, skonstruowały pompy. Dla nich istniała tylko część dla bezużytecznych kamieni. Ale przecież i on zamiast zająć się naukową analizą materiałów, uległ uciulanemu sugestiom. Oddał część słownemu sztafelowi swej ojczyzny i instynktowi głupich leminów.

Ta młoda kobieta pokazała mu, jak łatwo jest zboczyć z właściwej



Rys. L. Kapczyński

drogi i stać się niedobrym kapłanem własnych nadziei. Przed oczami uczono popłynęły żywe obrazy zamierzonych dzieł.

Miliony istot w ciągu wielu tysięcy lat, kamiennymi narzędziami, jak krety, wykopały te rowy, którymi na wieśnię spływała woda, stopiona z polnych czap planety, zraszając uprawne pola. Lecz wody było za mało. Przy świetle pionowych kamiennych świeczników ludność schodziła w podziemia do kolebki i światni wody. Pod sklepieniami oblanymi krwawym odblaskiem pożogi, augury dwójka żywiołów za modły i ofiary z płonów, pozwalali czerpać w gliniane naczynia z języcznego źródła — podziemnych wódociągów. Ale kapłanom nie starczyło mocy, aby napoić miliony. I oto rozpoczęła się era calopalenia. Bogowie zażądali ofiary ludzi. Błyszno malachitowe oko nad Skala Terpejską, nio sąc zagładę.

Matsuoki otarł ręką czoło. Zagłada jego nadziei płynęła z podobnych źródeł. „Prawie żadnej różnicy” — powtórzył ironicznie i zbliżył się do kartografów.

Gdy Bara obudziła się, słońce stało już wysoko. Za szybą iluminatora widać było ludzi, ładujących skrzynie, przeznaczone dla Ziemi. — Co z Tiną? — pomyślała. Krzając się po kabinie, spostrzegła nagle jakąś broszkę i papierosnicę, leżące na stole. Zbliżyła się i wówczas dostrzegła jeszcze kilka drobnych kobiecych przykrytych we czworo złożonym papierem.

To są jej rzeczy — pomyślała. Czemu i w tym wypadku przewidywania jej się sprawdziły?

Bezmyślnie bawiła się przekładając przedmioty. Czula, że jest bliska placu. Nagle spojrzenie jej padło na arkusz papieru zapisanego znajomym pismem.

Bowska — pomyślała i zaczęła czytać:

„Kochana, wybieram się tam. Pragnę bez towarzysztwa tych profanów jeszcze raz przeżyć te cuda. Żaluję, że jesteś zajęta i nie będziesz mogła mi towarzyszyć. Od chwili, gdy zdradziłaś mi tajemnicę mego zaginionego pamiętnika, należysz już do mnie i wcześniej, czy później los nas połączy. Nie myśl, że myślę o tobie tylko, jak o kobiecie. Jestem tragicznie samotny w tym świecie krzemu i ludzkiej duszy. W tobie zachowało

los skazał ich na wieczną nieszczęśliwość. Słyszałaś, w jaki ohydny sposób Watt zaatakował mnie. Upadł już tak nisko, że w funkcjach rozrodczych jakiegoś robaka widzi problematykę godną swej nauki i co najdziwniejsze, że swą niewiedzą i bezzia mierz potęgę mej wiary. Zawsze i wszędzie prześladować nas będą zwierzęta i ich instynkty. Wiedział już o tym Darwin.

Za parę dni będziemy już na Ziemi. Skończymy wycieczkę po tym zmechanizowanym niebie i może we dwójkę zdołamy stworzyć gdzieś zakątek prawdziwej wielkości i szczęścia. Gdy jednak myślę o tym, przeraża mnie świadomość, że oni tak osaczyli wszystko. Że nawet o taki zakątek jest trudno. Najgorsza tyrania „wolności” przeciw osobowości i duchowi ludzkiemu. Dlatego dziś jeszcze musimy koniecznie być tam, odechnąć tę atmosferę, której nigdy nie skazyli swym brzękiem maszyn. Gdy patrzę na te świeczniki, widzę stopy, na których płonęły tysiące marsjańskich Jordano Brunów. Stopy, które ocaliły tę cywilizację od materializmu, który u nas zmiażdżył człowieka, pozostawiając tylko Fałolo. — A propos: myślę, że koło przy rynnach zostało umyślnie podrzucone przez tego japońskiego Europejczyka — aby ratować „prestiz”. Bo jakie można żyć bez kółek zębnych.

Jestem ostatnim Mohikaninem szczęścia na Ziemi i dlatego mam prawo powiedzieć ci, że cię kocham i zaproponować, abyśmy wspólnie rzucili wezwanie światu. Nie już...”

List był niedokończony. Widocznie Tina akurat nadeszła, aby na sobie samej doznać losu, jaki zgutował jej wymarzony świat kochanka.

Bara odłożyła list i wpatrywała się chwilę w czerwona odbłaski zinnego marsjańskiego słońca, przesuwałe się po ścianach kabiny.

(Dokończenie powieści za tydzień)

Traszk

Lech Konopiński i Włodz. Scisłowski

KARIERA

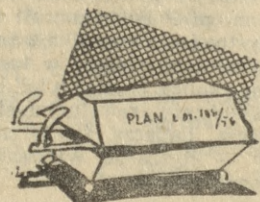
Uznawał zawsze jedynie czynny,
i to najśmielsze, najbardziej chwackie!
Wszedł na najwyższy szczebel drabiny...
Strażackiej.

FASON

Przyjechali z wielką pompą,
choć ogień tlił się skąpo...

O PEWNEJ METODZIE

Niejedną tego dowiodła głowa,
że gasi zapal woda sodowa!



Witold Degler

ŚMIERĆ PLANISTY

Musiał umrzeć. Już mu życie
nie mieściło się w limicie!

O SZTUCE ZAKLINANIA

Od czasów Ewy — za podszeptem węża
żona zna sztukę zaklania... męża!

MEZCZYZNA
Z DOŚWIADCZENIEM

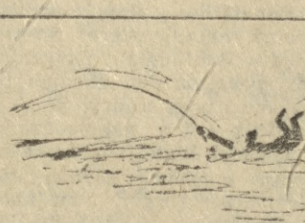


— Proszę zejść spokojnie na dół,
my nic panu nie zrobimy.



— Dość tego! Otwieraj sardynki,
Izo!

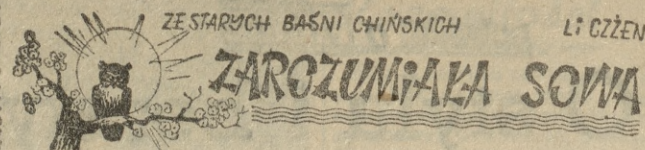
„Ullenspiegel” — Amsterdam



— Tatusz coś złowil!!

ZE STARYCH BAŚNI CHIŃSKICH

LI CZZEN



ZAROZUMIAŁA SOWA

Wczesnym rankiem, kiedy rzucając na świat tysiące życiodajnych promieni, na niebie pojawiło się po raz pierwszy słońce, wszystko co żywe cieszyło się tym cudnym zjawiskiem. Tylko rogata sowa nie podzielała ogólnej radości. Z całej siły uderzyła krzywym dziobem w najbliższe drzewo i zahaczała:

— Patrzcie, patrzcie wszyscy! Ja to świecidelko na prosek zetrę. Jak wróbla! Powiedziałam i dotrzymam! Zniszczę i nie będę żałować!

Jeżeli sowa coś obiecała i rzeczywiście dotrzymuje. Dziób zlamala, skrzydła obila, lecz w końcu środek na

unicestwienie słońca znalazła. Wyjątkowy środek. Zamknęła oczy, a głowę schowała pod skrzydło.

I chociaż słońce wędrowało wolno po całym niebie, przed oczami sowy rozciągała się noc. Siedziała w najbardziej głuchym zakątku puszczy, a kiedy ptaki śpiewaniem witaly nadchodzące słońce, sowa coraz głębiej wtulała głowę pod skrzydło, jeszcze silniej zamykala oczy i mruczała jak w malignie.

— Niech krzyczą co chcą! Ja się nie zgadzam! Przecież jasno widzę, że żadnego słońca na świecie nie ma.

(K)



Rys. H. Derwich

Janusz Księski

Opowiadki
niepedagogiczne

Będę nauczycielem

Czyż może być przyjemniejszy moment niż chwila spędzona nad gazetą po niezłym obiedzie? Zwłaszcza, gdy w ręku trzymasz się z takim trudem zdobyty egzemplarz „Świata” i na moment można zapomnieć o szkole. Dobrego nastroju nie może nawet zepsuć fakt, że najstarszy i jedyny syn podsuwa do podpisu zeszyt, gdzie pod ostatnim zadaniem z matematyki figuruje ocena znana powszechnie pod nazwą niedostatecznej. W trakcie podpisywania tego nieprzyjemnego dokumentu budzi się jednak w człowieku najpierw nauczyciel, a potem ojciec. Połączenie tragiczne w skutkach o czym wiedzą najlepiej dzieci nauczycieli.

Nic więc dziwnego, że zamiast zeszytu, na którego oddanie niecierpliwie czekał Staszek, usłyszał zaprawione ironią z odpowiednią dozą goryczy pytanie:

— Znowu!!!

— Tak się jakoś złożyło — bąknął z niechęcią.

— Złożyło się, mówisz? Jakoś często ci się tak składa.

Synek jednak ze skrucą milczał.

Wobec tego poprawiłem się w fotelu i rozpocząłem umoralniające kazanie:

— Powiedz mi, mój kochany, czego mam się wobec tego po tobie spodziewać. Mając wszelkie warunki do nauki a nawet pomoc w razie trudności obywatelstwo cię dwójka. Już na ostatniej wywiadówce musia-

łem się rumienić, kiedy twój wychowawca przedstawiał mi ciebie — niestety nie bez racji — jako patentowanego lenia.

Raz zdarzyło ci się nie przygotować lekcji, drugi raz nie przygotować się do klasówki, no i w efekcie nie tylko że dostajesz oceny ujemne, ale powstają w twoich wiadomościach duże luki. I to już w ósmej klasie. Przypuśćmy, że uda ci się przeszwarować prawem kaduka z klasy do klasy, ale przecież czeka cię w końcu matura. Tam wszystkie luki wyjdą na jaw i albo nie zdasz matury, albo cię do niej nie dopuszczą. A wtedy twoje plany o politechnice wezmą automatem w łeb. I co wtedy zamierzasz, mój drogi, robić? Co będziesz robić bez wykształcenia? — zakończyłem z triumfem.

— Co będę robić? — zdziwił się Staszek. — Jak to co? Będę uczył!

— Uczyć? — ze zdziwienia zapomniałem się nawet oburzyć. — Jak to, uczyć?

— Zwyczajnie. Zostanę nauczycielem.

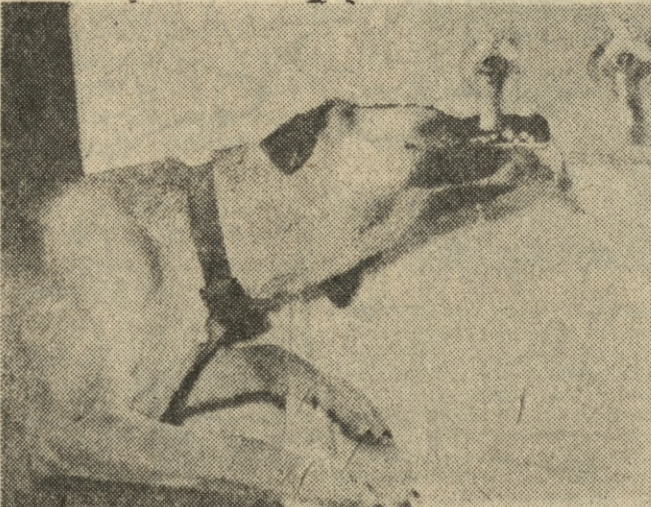
— Bez matury?

— A po co matura? Przecież wszyscy co oblewają maturę u nas — idą na nauczycieli. Co do jednego! Ci, co zdają — idą na studia. A jeśli się nie dostaną, też idą na nauczycieli. Na jeden rok naturalnie. Chyba, że i po roku znów się nie dostaną, wtedy uczą dalej. Każde dziecko wie o tym. Czyżby w twojej szkole było inaczej? — zakończył perfidnie.

Słyszac, że nie odpowiadam i śledzę jak porażony w fotelu sentencjonalnie dodał:

— Tak, tak... a przecież nauczyciele też są potrzebni. Skądby się brał, gdyby wszyscy zdawali matury i dostawali się na studia. Nieprawda?

T. Czekanowski



Wabi się... Lot. Ma różne przyzwyczajenia podpatrzone prawdopodobnie u... ludzi. A zresztą oszczędźcie sami...

CAF — fot. Tymiński